ŁOSIEWICZ
O „ŻONACH KONSTANCINA"
– szokującej książce o brutalnym świecie polskich Carringtonów

MATUSZAK O TVN:
TEGO NIE DA SIĘ OGLĄDAĆ ANI NA KACU, ANI NA TRZEŹWO

JANECKI:
PLANY OPOZYCJI TO PROJEKT V ROZBIORU POLSKI

WALASZCZYK:
BYŁEM NA POGRZEBIE URBANA. JESTEM WSTRZĄŚNIĘTY

MACIEJEWSKI:
TAJEMNICE PUŁKU AZOW

PIENIĄDZE, PRZEMOC, ZDRADY I CIERPIENIE

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 42 (516) 2022
17–23 października 2022
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

RAZEM UDERZĄ NA POLSKĄ GRANICĘ

ŁUKASZENKA ZNÓW ŚCIĄGA MIGRANTÓW, A TUSK BRUTALNIE ATAKUJE OBROŃCÓW GRANIC.
TO ŚMIERTELNIE NIEBEZPIECZNA GRA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
42
9 772544 269205

Nasz defekt narodowy

Kraje, które przeszły surowszy realny socjalizm, choćby Węgry czy Czechy, nie zdewastowały tak mocno swojego krajobrazu jak my. To nie jest więc tylko i wyłącznie wina ideologii, planowania nakazowo-rozdzielczego oraz gwałcenia własności, lecz także słabego zakorzenienia problemów estetycznych w świadomości obywatela

Fot. Andrzej Wiktor

Jacek Karnowski rozmawia z Czesławem Bieleckim, architektem, projektantem, publicystą

Najnowsza pana książka pt. „ArchiKod" to dzieło monumentalne. Jest podróżą po 72 miejscach, obejmującą zarówno miejsca bardzo znane, jak i mniej popularne, a czasem zupełnie nieistniejące w szerszej świadomości. A wszystko, o ile się nie mylę, krąży wokół pytania, dlaczego jedne przestrzenie są ładne, inne brzydkie, jedne nam przyjazne, a inne wprost wrogie.

Czesław Bielecki: Pytanie, które stawiam, brzmi: czy i dlaczego straciliśmy stulecie 1920–2020? To pewne, że zapomnieliśmy o pięknie, ale nie tylko dlatego. Zapomnieliśmy przede wszystkim, co jest podglebiem architektury, tym, na czym ona się rozwija. Zgubiliśmy rozumienie miejsca, własności, a także rozumienie znaczenia tradycji we współczesności. Bo przecież walkę o nowoczesność prowadzono w bardzo wielu epokach, przede wszystkim w oświeceniu. Tam są początki modernizmu.

Ale oświeceniowy modernizm nie zabił tego, o co pan się upomina.

Bowiem problem polega na tym, czy w tym, co budujemy współcześnie, rozumiemy tradycję, z której wyrastamy, czy też próbujemy ją całkowicie przekreślić. W ostatnim stuleciu wpadliśmy w tę pułapkę. W „ArchiKodzie" pokazuję, jak często największe ikony architektury ostatniego stulecia kryły w sobie zalążek przyszłych klęsk.

Co konkretnie?

Walczyliśmy z chaosem, ze spekulacją nieruchomościami i rolą rynku w urbanizacji, a skończyliśmy na marnotrawieniu terenów budowlanych, planowanym chaosie i monotonii. Moderniści – na modłę faszystowską czy komunistyczną – byli totalistami. Wierzyli, że świat można kompletnie i naukowo zaplanować, że człowieka można stworzyć na nowo, a miasto jest rodzajem mechanizmu, którego logikę funkcjonowania właśnie odkryli. W swojej książce pokazuję, że miasto jest raczej organizmem, który wciąż na nowo próbujemy odczytać. „Urbanistyka buldożerowa" ostatniego stulecia nie sprawdza się i widać to w takich współczesnych miastach, jak Bogota czy Lagos. Nawet gdy metropolie rozwijają się żywiołowo w formie slumsów, okazuje się, że można je przekształcać, ponieważ jest w nich energetyczna tkanka ludzka i rodzą się prawdziwe wspólnoty.

> Trzeba zrozumieć, że we wspólnych rzeczach jest potrzebne przywództwo. Samorządowcy muszą wskazywać kierunki polityki przestrzennej. To nie jest sprawa tylko dla specjalistów. Oni mogą podpowiedzieć, jak coś zrobić, ale hierarchię celów – gdzie ma być plac, jakie funkcje mają pełnić okoliczne budynki, by naprawdę żył miejskim życiem – muszą wskazać liderzy

To rozwiązanie dużo lepsze niż wyburzanie i budowanie zgodnie z tworzonym od nowa planem?

Tak, gdy w miejsce tych organicznych wspólnot przychodzi świat sztuczny, nawet gdy tworzy piękną grę brył w słońcu. Nieprzypadkowo granicę modernizmu i postmodernizmu wyznaczyło osiedle powtarzalnych bloków Pruitt-Igoe w St. Louis, zaprojektowane przez Minoru Yamasaki. Na początku lat 70. XX w. zostało wyburzone, ponieważ stało się siedliskiem przestępczości. Mieszkali tam Afroamerykanie przesiedleni ze slumsów.

Czytając „ArchiKod", można odnieść wrażenie, że „mówi pan Scrutonem", akcentując potrzebę zachowania pokory, umiaru, szacunku dla przeszłości. W takiej właśnie postawie ten brytyjski filozof widział ratunek dla naszego świata.

Jestem liberalnym konserwatystą, więc wiem, że trzeba bronić wolności, ale też rozumieć, w jaki sposób ta wolność wyrasta z własności, z tradycji. W krajach wolnych i demokratycznych również tradycję można kwestionować, interpretować, rozwijać. Od satrapii i ustrojów autorytarnych czy totalitarnych różni nas rzecz zasadnicza: zawsze zostawiamy sobie alternatywę i mamy możliwość wyboru.

W książce prezentuje pan przede wszystkim główne ulice i place, większe założenia urbanistyczne. Czy zgodzi się pan, że to jest najsłabszy punkt polskiego myślenia o przestrzeni?

Wszystko wiąże się z pytaniem, jak tę całość, która jest miastem i służy wspólnocie, złożyć z części. Na to pytanie totaliści w ub.w. nie znaleźli dobrej odpowiedzi. Pokazuję, że zarówno w lokacjach miast średniowiecznych, czy to na prawie polskim, czy też na prawie niemieckim, jak i w XIX-wiecznej zabudowie w Paryżu, który Haussmann poprzecinał nowoczesnymi arteriami, zawsze było widać myślenie o tym, jak tworzyć całość – przestrzeń publiczną służącą wspólnocie. Składano ją z różnych elementów i stosowano różne chwyty, o których studentów architektury nie uczy się już od lat. Np. pl. Vendôme w Paryżu zbudowano w ten sposób, że sprzedawano segmenty jednorodnej, barokowej elewacji. To, co z tyłu, w głębi działki, nabywcy mogli zabudowywać z dużą dowolnością. Przestrzeń publiczna podlegała więc innym zasadom i rygorom niż przestrzeń prywatna. Ale i u nas można znaleźć przykłady tego typu myślenia. W książce „Gra w miasto" opisałem, jak na ul. Piotrkowskiej w Łodzi tylko ósma część elewacji kamienicy była przeznaczona na frontową identyfikację, a wszystkie podwórka miały zunifikowane okna, mimo że budowali je różni inwestorzy.

Dlaczego?

To kwestia ekonomii piękna. Dlatego, że to, co widzimy z podwórza, przez okno, jest drugorzędne, ma wymiar codzienny i praktyczny. Z kolei to, co widzimy na ulicy, co sprawia, że rozpoznajemy nasz dom, jest kluczowe: chcemy wiedzieć, które okno jest nasze. Wprowadziłem w obieg pojęcie „sausage architecture", czyli architektury kiełbasianej – takiej, którą można w dowolnym momencie przeciąć w pionie i w poziomie. Dziś

jest popularny minimalizm, ale moim zdaniem minimaliści nie do końca przeanalizowali doświadczenie modernizmu. Ruch nowoczesny marzył o szlachetnej prostocie, a skończyło się na prostactwie. Minimaliści znów uwierzyli w prostą powtarzalność, lakoniczność i jednolitość architektury, a kończy się to na wszechobecnej nudzie. W każdej epoce są pewne mody na konkretne detale, materiały, rozwiązania. Tym razem jednak mamy do czynienia z kultem mechanicznej powtarzalności, co jest niezrozumieniem techniki. Przecież maszyny pozwalają taniej i szybciej tworzyć skomplikowane formy. Moja książka kończy się przywołaniem metabolistów, grupy architektów japońskich, którzy projektowali utopijne miasta, próbując w nich łączyć myślenie o biologii z architekturą. Rysowali, a czasem budowali struktury obrośnięte wymiennymi kapsułami mieszkalnymi.

Udało się?

Nie tylko te elementy nie były wymienne, ale też szybko się zestarzały i budynki popadły w ruinę. Była to propaganda technologii, a nie nowa technologia budowlana. Pokazuję w „ArchiKodzie", jak różne warstwy budynków, różne części jego struktury żyją innym życiem i służą innym funkcjom, także publicznym. Funkcje się zmieniają, a formy architektury trwają.

W czasie spotkania promującego pana książkę na Forum Ekonomicznym w Karpaczu pojawiło się kilku samorządowców, którzy stawiali podstawowe pytanie: co robić? Pan odpowiadał, że potrzebna jest polityka przestrzenna, którą wypełni indywidualna aktywność.

Potrzebne jest projektowanie przestrzeni publicznej. We wszystkich miastach z przeszłości, które nas tak zachwycają, były regulacje mówiące o tym, jak ta wspólna przestrzeń ma wyglądać. Przytaczam przykład Lukki w Toskanii, gdzie na ruinach rzymskiego amfiteatru sparcelowanego przez mieszczan wyrosły kamienice różnej szerokości. Całość stworzyła jedność w różnorodności, bowiem podziały nieruchomości powtórzyły elipsę amfiteatru rzymskiego. Powstało coś niezwykłego, co do dziś zachwyca: pl. Amfiteatru. Tradycja potrafi trwać w bardzo różnych formach. Nawet zrównana z ziemią przez Niemców dzielnica żydowska w Warszawie odtworzyła się na planie ulic, częściowo tylko zmienionym. Miasto trwa, choć się zmienia, a jego kodem genetycznym jest sieć przestrzeni publicznej.

Od czego jednak ci samorządowcy mają zacząć? Próba narzucenia jakichkolwiek reguł, choćby estetycznych, często kończy się wielką awanturą.

Wiele osób nie rozumie, że własność nieruchomości jest czymś zupełnie innym niż własność ruchomości. Krzesło, obraz czy rzeźba to coś innego niż architektura, której życie rozgrywa się w przestrzeni wspólnej. Szaleńczy jest np. pomysł, że każdy obywatel będzie decydował o tym, czy na końcu ślepej ulicy będzie małe rondo, które pozwoli zawrócić karetce czy śmieciarce. Bezsens planowania w czasach komunizmu, z jego całym schematyzmem, nakłada się tu na polską anarchię. Trzeba zrozumieć, że we wspólnych rzeczach jest potrzebne przywództwo. Samorządowcy muszą wskazywać kierunki polityki przestrzennej, która nie może być puszczona luzem. To nie jest sprawa tylko dla fachowców i specjalistów. Oni mogą podpowiedzieć, jak coś zrobić, ale ogólną koncepcję i hierarchię celów – gdzie ma być plac, jakie funkcje mają pełnić okoliczne budynki, by naprawdę żył miejskim życiem – muszą wskazać liderzy.

> Czy chcemy, czy nie chcemy, Pałac Kultury i Nauki stał się intrygującym świadkiem historii. Moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem byłoby zbudowanie w podziemiach pałacu muzeum upadku komunizmu. Mielibyśmy dwa w jednym: fasadę systemu oraz jego biedę na tyłach i lochy

Czy Pałac Kultury i Nauki należałoby wyburzyć?

Nie, ma za dużo funkcji do dziś użytecznych, ekonomicznie byłoby to nieuzasadnione. Szczęśliwie udało się przewyższyć go sąsiadującymi budynkami i nie dominuje już w sylwecie Warszawy. Oprócz tego, czy chcemy, czy nie chcemy, stał się on intrygującym świadkiem historii. Moim zdaniem najlepszym rozwiązaniem, o czym już wielokrotnie mówiłem, byłoby zbudowanie w podziemiach pałacu muzeum upadku komunizmu. Mielibyśmy dwa w jednym: fasadę systemu oraz jego biedę na tyłach i lochy. W mojej koncepcji, pokazanej publicznie w Muzeum Architektury we Wrocławiu, dawny Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina mógłby być ikoną triumfu i upadku systemu. Uważam, że planowany od lat plac miejski na miejscu pustyni pl. Defilad powinien nosić nazwę pl. Wolności. Ponieważ władze miasta ogłosiły konkurs na nazwy miejskich przestrzeni, zgłaszam właśnie tę nazwę.

Dla wielu Polaków PKiN – prezent od Stalina – jest jednak zbyt silną dominantą w przestrzeni miejskiej.

Ten gigantyczny stalinowski but w środku miasta miał zostać zhumanizowany właśnie przez zbudowanie przed nim placu miejskiego w ludzkiej skali. Niedługo miną 33 lata wolnej Polski. Gdy wlecze się – jak to w sektorze publicznym – budowa gmachu Muzeum Sztuki Nowoczesnej, wciąż nie wiemy, jaki jest pomysł na funkcję drugiej pierzei placu. To tak, jakby budować samochód z dwoma kołami. Skądinąd miasto i państwo, nawet gdy były w rękach tej samej partii, nie zdołały porozumieć się w sprawie rozbudowy i modernizacji tunelu średnicowego, który powstał w 1926 r. A był przejawem nowoczesnego, całościowego myślenia o mieście: mamy dzięki temu kolej, która bezkolizyjnie przejeżdża pod centrum. Jest nonsensem, że skądinąd konieczne zwężenie i zhumanizowanie Al. Jerozolimskich następuje przed poszerzeniem tunelu średnicowego, zanim rozpoczęto jego przebudowę. To plaster na paskudną chorobę, którą jest niesieciowe myślenie o mieście. Trzeba rozumieć sens miejsca i znaczenie lokalizacji – podstawę przekształceń urbanistycznych, znaną wszystkim deweloperom.

Fot. pracownia DM

Czesław Bielecki zaprojektował Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie. Budowa trwa

Czy w Polsce mamy szczególnie duży problem z kształtowaniem przestrzeni wspólnej, z szanowaniem krajobrazu, z owym archikodem?

To nasz wielki defekt narodowy. Kraje, które przeszły surowszy realny socjalizm, choćby Węgry czy Czechy, nie zdewastowały tak mocno swojego krajobrazu. To nie jest więc tylko i wyłącznie wina ideologii, planowania nakazowo-rozdzielczego i gwałcenia własności, także słabego zakorzenienia problemów estetycznych w świadomości obywatela. To jest rola, którą w II Rzeczypospolitej państwo i samorządy unosiły, mimo wszystko tworzono wzorce pozytywne. Dziś w większej skali – placów, bulwarów, dzielnic mieszkaniowych – tego nie robimy. Budujemy pojedyncze ikony, ale to za mało. Są co prawda architekci, którzy kontekst odrzucają albo twierdzą, że to oni go tworzą, ale to nieprawda. Każdy z nas jest gdzieś, wśród czegoś, nie przychodzi znikąd. W „ArchiKodzie" najczęściej występuje właśnie słowo „kontekst". Nieprzypadkowo pierwsze trzy rozdziały mojej książki mają tytuły „Miejsca", „Sieć" i „Życie". Miejsce jest ważniejsze niż architektura, ono trwa przez tysiąclecia.

Polska opinia publiczna lekceważy kwestie krajobrazowe, estetyczne, a one decydują przecież, często podświadomie, o postrzeganiu własnego kraju, o samoocenie narodowej i mają poważne konsekwencje.

Wjeżdżając do Lublina, widzimy ceglany kościół, który zbudowano w jakiejś dziurze. Nikt w przeszłości nie zbudowałby kościoła w zagłębieniu, między dwoma pagórkami. Wiedziano wówczas powszechnie, czym jest budynek monumentalny, czym jest budynek użyteczności publicznej. Powinniśmy też mówić, że nie jest właściwe, gdy instytucje publiczne wynajmują komercyjnie przestrzeń w wieżowcach, przyczepiają czerwoną tabliczkę z orzełkiem w koronie i mówią, że tu jest instytucja naszego państwa. To powinny być budynki, które współczesnym językiem architektonicznym interpretują historię, mówią coś o nas, o naszym rozumieniu tradycji, państwa, jego powagi. To, że nie umiemy tego robić, jest jakąś luką w myśleniu. I obywatelskim, i państwowym.

Po upadku komunizmu architekci zajęli się projektowaniem pojedynczych budynków, zarabianiem pieniędzy. Problem jakości przestrzeni publicznej podniosły dopiero ruchy miejskie, zakładane przez bardzo młodych ludzi, którzy uznali, że coś jest nie tak wokół nas.

To jest nasze wielkie niepowodzenie, że nie potrafiliśmy powiedzieć, na czym polega nasza rola. Kwestie natury użytkowej, funkcjonalnej, powinniśmy zostawić innym, przede wszystkim użytkownikom. My jesteśmy od tego, by to było wygodne, ładne, zgodne z triadą Witruwiusza: trwałość, użyteczność, piękno. Cała biurokracja nadzorująca urbanistykę zwraca tymczasem uwagę na wszystkie przepisy poza tymi, które decydują o ładzie i estetyce. Ten chaos, który mamy, mówiąc językiem Kisielewskiego, nie jest kryzysem, lecz rezultatem. Chorego systemu planowania i chorej praktyki administrowania przestrzenią.

Rezultat, który potrafi zasmucić. Okolice podwarszawskie, a także podkrakowskie są dewastowane postawionymi w szczerym polu wielkimi osiedlami, które są jak bomba atomowa dla okolicznych wsi.

Pokazuję w „ArchiKodzie", jak wielką rolę odgrywa komasacja własności i jej wtórna parcelacja. W jaki sposób dobre podziały własnościowe decydują o porządku. Nieruchomość trwa przecież znacznie dłużej niż budynek, owo „naniesienie", jak mówią geodeci. Np. w Warszawie mamy ulice, takie jak Hoża, Krucza, Wilcza, które są ulicami narolnymi, czyli takimi, na których mieszczanie ze Starego Miasta mieli w średniowieczu swoje pola. Dlatego te kwartały są tak głębokie i tak chaotycznie zagospodarowane. Podziały własnościowe przetrwały wieki.

Może warto wrócić do pomysłu lekcji estetyki, o których wspomniał kiedyś Jarosław Kaczyński?

Niedostatek wątków estetycznych w szkolnej edukacji jest dużą stratą. Później każdy googluje taką estetykę, jaką przesiąkł, poczynając od naszych polityków, i to wszystkich partii. W toku niedawnych konsultacji społecznych na temat przestrzeni publicznych w jednej z gmin usłyszałem od dumnych obywateli, że oni sami lepiej wiedzą, co jest ładne. Nastąpiło to po prezentacji, jak wygląda miasto ogród pod Londynem po stu latach od jego założenia. Nie kryli oburzenia, gdy odesłałem ich do okulisty. W przestrzeni prywatnej, na swoim podwórku, którego nie widzimy z zewnątrz, każdy może bałaganić dowolnie. Ale w przestrzeni publicznej właściwa władza ma prawo powiedzieć, co wolno, a czego nie. Bez tego nie ma ładu, harmonii, nie mówiąc już o pięknie.

Zaprojektował pan także Muzeum Bitwy Warszawskiej w Ossowie, które właśnie powstaje. Jaki był ogólny zarys pana koncepcji?

Wyszedłem od pytania, jak w tej pozbawionej jakiegokolwiek charakterystycznego rysu mazowieckiej wsi pokazać, że to tu właśnie nastąpiło najważniejsze w XX w. polskie zwycięstwo? I odpowiedziałem: wznosząc się ponad to, co banalne, pokażmy majestat krajobrazu – usypmy wzgórze, z którego znad mapy Europy, w tak stworzonej loggii widokowej, spojrzymy na pole Bitwy Warszawskiej. A już wchodząc do budynku, zobaczymy sens ówczesnego starcia cywilizacji. To była wojna dwóch światów. Piłsudski walczył z Leninem, który chciał przenieść pożar rewolucji do Niemiec, traktując Polskę jako cienkie przepierzenie między Wschodem a Zachodem. Nad nami, w wewnętrznym patio muzeum, niech zawiśnie samolot zwiadowczy polsko-amerykańskiej Eskadry Kościuszkowskiej, a rzeźby Magdaleny Abakanowicz wyznaczą wysoki ton, którym trzeba mówić w tym miejscu. Mamy tu uczyć żołnierzy i obywateli, jak zwyciężać, bo pomników naszych klęsk mamy pod dostatkiem. O taką wizję Ossowa walczę od pięciu lat. Czy rozumie ją inwestor? Niestety nie. A czy rozumie ją przeciętny człowiek? Tak, jest absolutnie oczywista dla każdego, kto zwiedza budowę i już dziś z tarasu na wysokości kilkunastu metrów ogląda pole bitwy i wyobraża sobie mapę Europy pod stopami. Wszystko rozumie, tym bardziej że za naszą granicą Ukraina walczy o wolność.

> Nie jest właściwe, gdy instytucje publiczne wynajmują komercyjnie przestrzeń w wieżowcach i mówią, że tu jest instytucja naszego państwa. To powinny być budynki, które współczesnym językiem architektonicznym interpretują historię, mówią coś o nas, o naszym rozumieniu tradycji, państwa, jego powagi

Ale przecież pana projekt wygrał i jest realizowany.

Architekt jest tylko głównym projektantem, łączy działania inżynierów, w tym przypadku kilkunastu branż. Gdy instytucjonalny inwestor, którym jest dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, nie czuje się liderem przedsięwzięcia, nie zna dobrze projektu i nie rozumie swojej roli, praca staje się biurokratyczną męką. I dla budowniczych, i dla architekta. Nieprzypadkowo napisałem ostatnio ministrowi Błaszczakowi, w którego domenie rzecz się dzieje, że nie zbudowaliśmy przecież magazynu, któremu dopiero muzealnicy nadadzą docelowy sens. Nasza wizja memoriału Bitwy Warszawskiej wynika ze zrozumienia, czym było polskie przywództwo w 1920 r. i współdziałanie Polaków z Amerykanami, Ukraińcami, Francuzami. Wyrażamy to językiem przestrzeni, architektury, rzeźby. Wizja krajobrazowa i koncepcja aranżacji wejścia wyrasta z roli tego miejsca w polskiej historii. I ma mówić nie za pomocą haseł, ale – samym sobą.

Może politycy dostrzegają zagrożenia i potencjalne „bomby" interpretacyjne, których nie widzą artyści?

Największym zagrożeniem byłoby, gdyby młody człowiek, może cudzoziemiec odwiedzający Muzeum Bitwy Warszawskiej, musiał się wczytywać w gabloty, by zrozumieć, o co chodzi. A nasz inwestor nie napisał jeszcze warunków konkursu na wystawę z tymi gablotami. Jako architekt, który zwiedził dziesiątki współczesnych muzeów na świecie, skupiam się na tym, co widz ma zrozumieć natychmiast. Już stojąc przed wejściem i po chwili otwierając drzwi do Muzeum Bitwy Warszawskiej. To nie słowa, frazesy czy propaganda mają mówić, ale samo dzieło – architektoniczna interpretacja fenomenu tego zwycięstwa polskiego oręża.

Jak to się skończy?

Raczej maleją, niż rosną szanse na to, że uda się muzealnym urzędnikom wykastrować ten projekt, zniszczyć jego główną ideę. Są ludzie, i to bardzo wybitni, którzy mnie upewniają w tej myśli, od przewodniczącej komitetu wspierania budowy Zofii Romaszewskiej i historyka Andrzeja Nowaka po Michała Lorenca, Jana K. Kelusa i Urszulę Sikorską, inżyniera Stefana Assanowicza czy Jana E. Rościszewskiego. Na szczęście są w większości ci, którzy rozumieją, że dziedzictwo tej bitwy musi być żywą tradycją.

Reklama | 40/09822/F